

— Doskonale — zawołał Todd. — Jenó pyta-  
nie, czy też i Miles Vanderhook jest pod dozorem  
policji?

— O to możesz stawiać w zakład swój bez-  
mózgi czerep. Nie tylko nad nim, ale nad całym  
tym dobranym personelem bankowym czuwa oko  
policji. Najbardziej jednak cała ta banda łamie  
sobie głowy nad tem, dlaczegośmy nie tknęli ani  
złota, ani srebra, a wiedzieć, że to mi się jeszcze  
w czasie całej mojej kariery jako włamywacza nie  
zdarzyło. Niech to dyabli wezmą! Leżało tam złoto,  
dolarki cacane, srebra jak piasku, a myśmy tego  
ani nie ruszyli! Jeśli się nad tem głębiej zasta-  
nowicie, no, to przyjdziecie do przekonania, że da-  
libóg mnichy z nas, nie złodzieje artyści.

Złodziej kieszonkowy skrzywił się.  
— Niech będzie, co chce — mrucał — Lone  
Jack tak rozporządził, a jemu trzeba było zaufać.  
Czyż to jego wina, że dwóch milionów w kasie  
brakowało?

— Masz słusność — przerwał Bill Crookey —  
Lone Jack jest człowiekiem honoru, musieliśmy  
więc robić tak, jak on rozporządził. Podszedł nas,  
mówię to raz jeszcze, Miles Vanderhook, który nie-  
chaj będzie po trzykroć przeklęty! A teraz, posłu-  
chajcie mnie, chłopcy, rozwinę przed wami mój  
nowy plan — najwspanialszy ze wszystkich, jakie  
kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił. A więc! Lone  
Jack jest bez zarzutu, złodziejem jest Miles Vander-  
hook. On capnął monetę, a przypadek, przeklęty  
przypadek, przyszedł mu z pomocą. Myśmy się wła-  
mali i zastaliśmy naturalnie gniazdo puste. Lone  
Jack jest faktycznie bez grosza. Zdradziła mi to  
jego kochanka, o której on ani przypuszcza, aby  
była z nami w stosunkach. Well! Kiedy więc mi-  
ster Miles na drugi dzień ujrzał ze zdumieniem,  
że kasa jest rozbita, podziękował dyabłu za jego  
piekielną sprawkę i postanowił na razie nie ru-  
szyć się z Nowego Jorku. Liczył na to, że policja  
śledzić będzie włamywaczy, a jego pozostawi na  
boku. Ale Lone Jack postarał się, że policja za-  
brała się i do niego.

— Więc to tak?! — ozwał się Todd. — Dla-  
czegoż go więc nie aresztowano? he?

— Dzieciak jesteś. Przecież ojciec za niego  
poręczył. A ja wam powiadam, że to jednak jest  
wspaniała rzecz, iż policja tego ptaszka nie scho-  
wała do klatki, ale pozwoliła mu fruwać po Nowym  
Jorku — na tem zasadza się mój plan.

— Płeciesz same zagadki!

— Które wam zaraz rozwiązę, wyłożę jasno,  
mój chłopcze, jak włamywacz pierwszej klasy. A  
więc uwaga, bo przychodzę do rzeczy. Sądę więc,  
a raczej jestem przekonany, że Miles Vanderhook  
na parę godzin przed naszym włamaniem zrobił  
kasę o dwa miliony lżejszą — czego w żadnym  
wypadku Lone Jack nie mógł przewidzieć, chociaż  
widział tego gałgana, skradającego się po wyjściu  
wszystkich urzędników w podejrzany sposób do  
skarbcza. A zatem Miles Vanderhook ma owe dwa  
miliony i teraz czeka tylko na stosowną porę, aby  
módz z nimi czmychnąć. Wobec tego więc?

Zagadnięci rozdziawili gęby i patrzyli pytająco  
na mówiącego.

— Prosta rzecz — ciągnął Bill, śmiejąc się —  
z tego wynika, że musimy mu zdobyć wydrzeć,  
zanim on znajdzie sposobność, aby łup ten, który  
prawnie nam się należy, ulokować w bezpiecznym  
miejscu. Rozumiecie?

Grabber i Todd skinęli potakująco.

— Ale jak?

— Haha! W tem sęk! Oto właśnie chodzi! I to  
nazywam moim najwspanialszym planem. Zbliżcie  
się i otwórzcie uszy! Musimy Milesa Vanderhooka  
uwięzić, wziąć do niewoli, uprowadzić — nazwij-  
cie to, jak wam się podoba — i musimy mu zdo-  
być odebrać przemocą, a gdyby... hahaha! Prze-  
cież wyście mnie właściwie tego nauczyli; tego  
nie wiecie?

Ostatnie słowa, nie stojące z poprzednimi  
w żadnym związku, wymówił Bill Crookey bardzo  
głośno. Teraz trząsł się ze śmiechu, począł bardzo  
znaczaco mrugać powiekami i śmiejąc się ciągle,  
prawił dalej:

— Jaktó? Tego nie wiecie? Well, więc ja wam  
powiem, dlaczego ten wspaniały stoliczek nazywa  
się „pauwau“. Słowo to nie należy bynajmniej do  
złodziejskiego słownika. Uczeń, do których i ja  
się zaliczam, sylabizują je w następujący sposób:  
Pi-o-döbbelju-o-döbbelju (angielskie w czyta się  
döbbelju. Przyp. tłóm.) to się równa słowu „powow“.  
Jestto wyraz indyjski, a w dobrej angielszczyźnie  
znaczy „zgrozadzenie“ albo „rada“ — rozumiecie?  
Słó ten jest więc pewnego rodzaju ogniskiem na-  
rad dla rzezimieszków, tu bowiem rozwijają swoje  
plany, zanim udadzą się na robotę. Cóż wy na to?

Zgłupieście! Nie przypuszczaliście, że w tej gło-  
wie, którą Bill Crookey nosi na swojej cielesnej  
powłoce, mieści się rozum tuzina amerykańskich  
profesorów?

Nikt nie odpowiadał.

Obaj złodzieje patrzyli zdumieni na mówiącego.  
Bill też umilkł i dopiero po chwili, gdy sala po-  
częła się opróżniać, podjął na nowo, jeno znacznie  
ciszej.

— Musiałem na chwilę odbiedz od przedmiotu,  
a to z powodu tego dragała, co się teraz rozpiera  
tam za bufetem. Zdaje mi się, że to jest szpicel,  
a kiedy się zbliżył do stołu, widziałem, że chce  
podłuchiwać. No, może sobie wziąć do serca mój  
trochę przydługi wykład o słowie „pauwau“ i szczy-  
cić się potem przed kolegami, jak on to poznał  
tajemnice złodziei. A teraz jedźmy dalej. Dowie-  
działem się, że Milles Vanderhook codziennie o go-  
dzinie dwunastej udaje się do Delmonicos, ażeby  
tam wpuścić do swego niegodnego kadłuba śnia-  
danie. Powraca o godzinie pierwszej. A więc —  
pojutrze. Pojutrze dwaj z naszej bandy, zaopatrzeni  
w odznaki tajnych agentów policyjnych, przystąpią  
do niego i poproszą, aby się udał razem z nimi.



.. Czy ty raz skończysz? — zawołał Todd.

— Co takiego? Przedstawia się jako tajni a-  
jenci?

— Naturalnie, ale nie krzyczcie tak głośno.  
Wszystko się robi po cichutku. „Niech pan nie  
robi awantury“ — powiedzą mu — jesteście taj-  
nymi agentami“ — i pokażą mu odznaki — „pro-  
simy pana, aby się pan udał za nami. To dla pań-  
skiego dobra jedynie. My, policja, dowiedzieliśmy  
się bowiem, że złodzieje, przebrani za agentów po-  
licyjnych, chcą pana uprowadzić, gdyż są przekon-  
nani, że pan jesteście w posiadaniu owych dwu  
milionów, które on przemocą chcą odebrać. Wieść  
ta doszła do policji przed kilku minutami i z raz  
wysłano nas obydwóch, aby pana ustrzedz przed  
niebezpieczeństwem. Zaprowadzimy pana jednak  
nie do policji, bo te łotry według wszelkiego pra-  
wdopodobieństwa już nas mają na oku, lecz do pry-  
watnego mieszkania, gdzie się pan dowieść reszty“.  
Rozumiecie, chłopcy?

Grabber wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Doskonale pomyślane — szepnął — ale za  
mało obmyślane! Przecież możecie być przekonani,  
że zaraz w tej chwili wpadnie mu do głowy myśl, że  
dwaj dzentelmeni, którzy go zaczepili, nie są ajen-  
tami policyjnymi, ale właśnie złodziejami!

— Tak sądzisz?

Bill Crookey zaprzeczył ruchem głowy.

— Masz słusność. Teraz widzę, że ty rzeczy-  
wiście jesteś zdolnym chłopakiem, należącym do  
wyższej klasy złodziei. Ale zapominasz o tem, że  
człowiek, który wam swój plan przedkłada, nazy-  
wa się Bill Crookey, a jest pierwszym włamywa-  
czem i rozbijaczem kas w całych Stanach Zjedno-  
czonych. Posłuchajcie. To, co Grabber mówi, to  
jest bardzo słusne, ale ja jestem przygotowany.  
Naprzeciw dwóch naszych agentów wyjdzie jeszcze  
trzeci, również należący do naszej bandy, ubrany  
w mundur policjanta. Tego chłopaczka nasi tajni  
detektywi zawołają i Miles może go, haha! dla  
upewnienia się, że jest bezpieczny, zabrać ze sobą.  
Co?

— Wspaniale — szeptał Grabber.

Ale teraz Toddowi coś się nie podobało.

— To wszystko dobrze — rzekł — to wszystko  
przemyślane bardzo szczegółowo, ale zapominacie  
o jednym, a mianowicie o tem, że wszyscy nasi są  
nowojorskiej policji aż nazbyt znani. Któż więc  
podejmie się przedsięwzięcia?

— Pomimo, że jako złodziej doszedłeś już do  
nielada wprawy, jesteś jeszcze dzieckiem, ale to  
zupełnie dzieckiem, mój Toddzie — ozwał się Bill

Crookey — bo gdyby nie  
to, to musiałbyś wiedzieć,  
że taki ptaszek, jak ja,  
który się słusnie może  
uważać za najsłynniejszego  
amerykańskiego włamy-  
wacza, o tem wszyst-  
kiem już pomyślał. Jutro  
poznacie trzech kolegów,  
po których już pisałem.  
Przyjadą z Kansas, gdzie  
ja ich poznałem. Jeżeli  
chodzi o miliony, to prze-  
cież można pozwolić kilku  
przyjaciółom, ażeby się  
także trochę przy nas po-  
żywili. Ludzie ci, których  
specjalnością jest prze-  
bieranie się za policyan-  
tów i detektywów, są tutaj  
zupełnie nieznanymi, ale zna-  
ją bruk nowojorski. Ju-  
tro w nocy przybywają,  
u „czerwonego Jacka“  
stają na nocleg, tam im  
udziele ostatnich wskazo-  
wek. a na drugi dzień speł-  
niają swoją robotę, która  
dla nich jest drobnostką.  
Teraz już dobrze?

Todd i Grabber skinęli  
potakująco.

— Jak dotąd, wszyst-  
ko dobrze — rzekł jeden  
z nich — ale już kończ,  
Billu i powiedz, gdzie  
masz zamiar schować mi-  
ster Milesa i co z nim  
zrobisz?

— Tak, to rzecz naj-  
cięższa, bo, jak już wiecie,  
Miles Vanderhook znaj-  
duje się również pod cią-  
głym dozorem policyjnym.

Śledzą za nim dzień i noc. Dlatego obmyśliłem i  
przygotowałem już, co następuje. Nasze chłopaczki  
zaprowadzą go na Bleckerstreet — prosto do mie-  
szkania „czerwonego Jacka“, gdzie panowie ajenci  
zde mają maski i wezmą się do ptaszka na dobre.  
My tam także leżdziemy. Pod domem znajduje się  
tam sklepiona piwnica z ukrytym wchodem — to  
jest na-ze wspólne schronienie przed policją — i  
gdyby policja rzeczywiście doszła za nami aż do  
tego domu, w co z góry nie wierzę, przetrząsa  
cały dom, to nas nie znajdzie, bo my drugiem,  
również tajnem wyjściem z piwnicy, zrobimy nogę.

— Dobrze — rzekł Grabber. — Mamy go więc  
w piwnicy. A teraz co?

— Co teraz? Prosta rzecz — wydrzemy mu  
tajemnicę gwałtem, czy przemocą, zmusimy go do  
tego, że wyzna, gdzie ukrył pieniądze, ażebyśmy  
je mogli wydobyć sami, albo też wydobyć przez  
Lone Jacka, gdy my tymczasem musimy z miasta  
czempredzej się wynosić, bo już nam będzie trochę  
za gorąco w piętę.

— A jeżeli nic się z niego nie uda wydobyć?

Bill Crookey spojrział na nich dumnie.

— Well kill him! — rzekł.

Obydwaj towarzysze patrzeli nań ze zdumie-  
niem.

Ciąg dalszy nastąpi.